



MARTIN CRUZ
SMITH

AUTOR POWIEŚCI „PARK GORKIEGO”

NA
WŁASNA
REKĘ

CZY NIEWYGODNA DLA KREMLA **DZIENNIKARKA**
SAMA **WYPADŁA Z BALKONU?**

Prolog

Był to jeden z tych dni, kiedy wszystkiego się odechciewa. Lato się skończyło, chmury wisiały nisko na wypranym z koloru niebie, a wzdłuż drogi, niczym żałobny tren, zalegały zwiedłe liście. Ten spokój zakłócił rozpędzony rowerzysta w stroju kolarskim z czerwonej lycry; korzystając z płaskiego terenu, pedałowal zawzięcie.

Joseph władał sześcioma językami. W restauracjach porozumiewał się po francusku, z handlowcami wołał mówić po chińsku, a śnił po tajsku. Istny człowiek orkiestra. A to znaczyło, że mógł podróżować po całym świecie bez obawy, że nie znajdzie pracy. Organizacja Narodów Zjednoczonych wysyłała go w jedne strony, Unia Europejska w inne. Wszędzie jednak brał ze sobą zrobiony na zamówienie czarny rower, koszulkę i spodenki od znanego projektanta, specjalnie dopasowane do kształtu ciała siodółko oraz kask w kształcie łezki. Zbyt późno zajął się kolarstwem, by zostać zawodnikiem wyczynowym, ale na wyścigach

lokalnych zaskakiwał większość uczestników. Inna sprawa, że zwycięstwa go nie interesowały. Radości dostarczało mu napięcie, poczucie, że jest niczym naciągnięty łuk. Oceniał, że do tej pory dwukrotnie objechał świat dookoła. Nie ożenił się, nie pozwalał mu na to wypełniony terminarz. Durnie wożący się z połowicami na tandemach wzbudzali w nim litość.

Uwielbiał zabawy słowne. Miał fotograficzną pamięć, a ściślej mówiąc — ejdetyczną. Spojrzawszy na krzyżówkę, mógł ją potem rozwiązywać podczas jazdy na rowerze, wyszukując słowa istniejące jedynie w krzyżówkach: *écru*, *cyma*, *amo*, *amas*, *amat*. Zagadka w języku innym niż angielski była tym łatwiejsza. *Tort* oznaczał delikt, *torte* — rodzaj ciasta. Skomplikowany anagram potrafił zająć jego myśli na trasie z Tulonu do Aix-en-Provence. Teraz trafiło mu się wolne popołudnie, potrzebował go po tłumaczeniu negocjacji Rosjan z Chińczykami. A skoro obie strony rozstały się wcześniej, skorzystał z okazji i wybrał się na przejażdżkę.

Szczycił się tym, że wynajduje niezwykle trasy. Piekło wyobrażał sobie w ten sposób, że będąc w Toskanii lub Prowansji, wleczę się za turystami telepiącymi się chwiejnie po całej szerokości drogi na wynajętych rowerach, by spalić lunch złożony z popitego winem sera. Elastyczne kieszenie na plecach jego koszulki mieściły butelki wody, batony energetyczne, mapę oraz podręczny zestaw narzędzi. Nie wahał się ryzykować perspektywy łatania dętki albo i dwóch, byleby mieć nowe widoki tylko dla siebie.

Kaliningrad powszechnie słynął ze szpetoty i szalejącej przestępczości; wśród miast był sierotą albo bękartem. Wystarczyło jednak wyrwać się poza jego granice i *voilà* — dookoła wszędzie zachwycające sielskie pejzaże.

Joseph, syn Rosjanina i Francuzki, nauczycieli języka w sieci Berlitz, zawód tłumacza miał we krwi. W szkole z internatem rozpuścił plotkę, jakoby rodzice zginęli tragicznie w wypadku samochodowym w Monte Carlo, dzięki czemu bogaci koledzy z klasy właśnie jego najczęściej zapraszali na wakacje. Przymilny z natury, wyobrażał sobie, że starość spędza jako gość w czyjejś nadmorskiej willi. Mimo że nie widywał rodziców od lat, nadal wysyłał im kartki z życzeniami na Boże Narodzenie.

Tłumaczył na żywo gwiazdy filmowe i głowy państw, jednak największe profity przynosiła praca przy negocjacjach handlowych. Najczęściej prowadziły je małe zespoły działające w warunkach ścisłej tajemnicy. Tłumacz musiał być wszechobecny, a jednocześnie prawie niewidzialny, ale przede wszystkim dyskretny. Miał dawać poczucie pewności, że zapomni to, co słyszał, że po skończeniu zlecenia wszystko puści w niepamięć.

Gdy szosa przeszła w wiejską dróżkę, Joseph co pewien czas śmigał obok ruin z cegły, zarośniętych krzakami bzu. Na szczęście prawie nikt tamtędy nie jeździł. Lawirował między kolejnymi dziurami, aż w pewnym momencie trafił na asfalt pofałdowany jak morskie fale. Z naprzeciwna nadjechała ciężarówka rzeźnika z plastikową świnką na dachu — zdawało się, że celuje wprost w rowerzystę, ale

w końcu minęli się niczym statki na morzu.

Tak naprawdę nie kasował wszystkiego, czego się dowiadywał. Pozostawiał notatki. Ale nawet gdyby ktoś je ukradł, były bezpieczne, bo poza nim nikt nie potrafiłby ich odczytać.

Droga kończyła się opuszczonym parkingiem z zamkniętym na głucho kioskiem i plakatem reklamującym występy z zamierzchłej przeszłości. Obok wałała się karta lodów. Wypisz, wymaluj obraz posezonowej nudy. A jednak, słysząc krzyk mew, zsiadł z roweru i przeniósł go nad grzbietem wydmy, skąd rozciągał się widok na plażę biegnącą jak okiem sięgnąć w obie strony oraz na regularnie rozbijające się o brzeg małe fale. We mgle morze i niebo wyglądały jak świecące pasy błękitu. Rozrzucany przez wiatr piasek mościł się pośród rosnących między wydmmami traw. Na straży stały toporne drewniane parasole plażowe ze ściągniętym płótnem, ale w zasięgu wzroku nie było nikogo, co tworzyło idealne warunki.

Położył rower na piasku i zdjął kask. To była prawdziwa gratka. Ot, taka drobna przygoda, którą będzie mógł opowiadać zauroczonym słuchaczom przy kominku i kieliszku czerwonego wina. Szczypta brawury na ukoronowanie jego kariery. Coś, co jej nada... znaczenie — tak, to właściwe słowo.

Było chłodno, lecz rozgrzany jazdą na rowerze Joseph zdjął kolarskie buty i skarpetki. Piasek był miękki, nie drobne kamienie jak w większości kurortów, w dodatku zachowany w świetnym stanie, prawdopodobnie dlatego,

że w czasach zimnej wojny Kaliningrad był miastem zamkniętym. Napływająca woda zasyczała wokół jego stóp i odpływała.

Z marzeń wyrwał go nadjeżdżający pojazd, zataczający się po plaży jak pijany w sztok marynarz — furgonetka rzeźnika. Plastikowa świnka, różowa i uśmiechnięta, kiwała się z boku na bok, aż w końcu samochód zatrzymał się i wysiadł z niego mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna, z włosami jak strąki pod miękkim filcowym kapeluszem. Wokół niego powiewał brudny fartuch.

— Szukasz pan bursztynu?

— Dlaczego miałbym szukać bursztynu? — zdziwił się Joseph.

— Bo tu go jest pełno. Ale musisz pan poczekać na sztorm, aż wzburzy cały bursztyn.

Wzburzy wodę, a bursztyn wypłucze, pomyślał Joseph, ale pominął to milczeniem. Czuł, że nie mają ze sobą nic wspólnego, zero więzi intelektualnej. Prędzej czy później ten osobnik zażąda pieniędzy na wódkę i rozejdą się.

— Czekam na znajomych — powiedział.

W zawadiacko przekrzywionym kapeluszu rzeźnik wyglądał cokolwiek groteskowo. Zataczał się jak pijany, a może tylko kręciło mu się w głowie, w każdym razie coś go tak rozbawiło, że wpadł na rower.

— Idiota! — warknął Joseph. — Uważaj, gdzie leziesz!

— Przepraszam, najmocniej przepraszam. O kurna, to włoski? — Rzeźnik podniósł rower za ramę. — Ja cię kręcę, piękny! Mało takich w Kaliningradzie.

— Tego to ja już nie wiem.

— Możesz mi pan wierzyć na słowo.

Joseph zwrócił uwagę, że dłonie rzeźnika są pokaleczone i spierzchnięte od noszenia zmrożonej wołowiny, a fartuch jest stosownie utyłany plamami w niezdrowym kolorze, ale już sandały zupełnie nie nadawały się na obuwie do noszenia w śliskich chłodniach.

— Oddaj mi ten rower, dobrze? Nie chciałbym, żeby piasek dostał się w tryby przerzutki.

— Nie ma sprawy. — Rzeźnik upuścił rower i rzucił wesoło: — Wakacje?

— Słucham?

— To pytanie. Przyjechałeś pan tu na wakacje czy w interesach?

— Na wakacje.

Rzeźnik rozdziawił gębę w uśmiechu.

— Nie może być! Pan żeś przyjechał do Kaliningradu na wakacje? Toś pan zasłużył na medal. — Udał, że przypina Josephowi do piersi odznaczenie. — Opowiedz mi pan o atrakcjach Kaliningradu. Na przykład, co takiego widziałeś pan dziś rano?

Joseph od rana pracował, co wprawdzie nikogo nie powinno obchodzić, tyle że rzeźnik wyjął niklowany pistolet i ważył go w rękę, jakby liczył drobne. Coś, co tłumacz dotychczas uważał za chłodny wietrzyk, przypравиło go o dreszcze, drobiny piasku kleiły się do jego złanej potem skóry. Może tamtemu chodzi o zwyczajne wymuszenie pieniędzy. Jeśli tak, to nie problem. Zapłaci, ile trzeba —

jego klient i tak zwróci mu ten wydatek.

— Jesteś z policji? — zapytał.

— A czy ja wyglądam, kurwa, na policjanta?

— Nie — przyznał Joseph. Upadł na duchu. Szkolono go, jak zachować spokój i współpracować w sytuacjach zagrożenia. Statystyki wyglądały bardzo obiecująco. W zasadzie giną tylko ci, którzy próbują strugać bohaterów. — O co właściwie ci chodzi?

— Widziałem cię z tymi ludźmi w hotelu. Stale otaczają ich ochroniarze i mają dla siebie całe piętro. — Rzeźnik konfidencjonalnie zniżył głos. — Co to za jedni?

— Biznesmeni.

— Biznes międzynarodowy, bo inaczej nie potrzebowaliby tłumacza, no nie? Bez ciebie wszystko staje. Maszyna przestaje działać, dobrze mówię? Czy nie jest tak, że małe kółko potrafi zatrzymać wielkie koło?

Joseph czuł się nieswojo. W końcu był przecież w Kaliningradzie. Świnka świeciła się z radości, że jedzie do ubojni. Joseph rozważał, co by się stało, gdyby postanowił uciec od tego szaleńca. Nawet gdyby nie zarobił kulki, to musiałby porzucić rower — opony ugrzęzłyby w głębokim i zbyt miękkim piasku. Wszystko to razem wzięte było poniżające.

— Ja tylko tłumaczę — powiedział. — Nie odpowiadam za treść.

— I robisz notatki z tajnych porad.

— To by było z gruntu nielegalne. Notatki mają jedynie wspomóc moją pamięć.

— Te narady są tajne, bo inaczej nie przyjechałbyś do Kaliningradu, tylko używał życia w Paryżu.

— Owszem, to poufne rozmowy — przyznał Joseph.

— Idę o zakład, że właśnie takie są. Masz talent. Ludzie chlapią ozorem, a ty to tłumaczysz słowo w słowo. Jak ci się udaje to wszystko spać?

— Właśnie dzięki notatkom.

— Chętnie bym je obejrzał.

— Nic byś z nich nie zrozumiał.

— Umiem czytać.

— Nie chciałem powiedzieć, że nie potrafisz czytać — rzucił Joseph czym prędzej. — Tylko że te materiały są pełne bardzo specjalistycznej terminologii technicznej. No i są poufne. Złamałobyśmy prawo.

— Pokaż mi je.

— Nie mogę, słowo. — Joseph rozejrzał się, ale zobaczył wyłącznie mewy patrolujące plażę na wypadek, gdyby pojawiło się coś do jedzenia. Nikt im nie powiedział, że sezon turystyczny się skończył.

— Nic nie kumas. Ja nie muszę znać sprawy na wylot. Jestem piratem, jak ci Afrykanie, co to porywają tankowce. Oni głównie wiedzą o ropie. To tylko paru czarnych gnojów z pistoletami maszynowymi, ale kiedy już uprowadzą tankowiec, to mają wszystkie atuty w rękę. Firmy płacą im miliony za zwrot swoich statków. Porywacze nie prowadzą wojny, oni po prostu walą w dupę system. Tankowce stwarzają im szansę na lepsze życie, dokładnie tak samo jak ty mnie... Dzięki tobie też mam szansę na lepsze życie.

Nie jestem chciwy, chcę dostać za ten notes ledwie dziesięć tysięcy dolarów.

— Skoro jesteś tylko posłańcem, to zmienia postać rzeczy — powiedział Joseph i natychmiast zrozumiał, że nie należało tego mówić, a tym bardziej w taki sposób. Zupełnie jakby szturchnął kobrę. — Poczekaj... pokażę ci go... — Sięgnął za plecy i szamotał się z kieszeniami koszulki, tak że wypadły batony energetyczne i butelki wody, aż w końcu znalazł notes i ołówek.

— To jest to? — zapytał rzeźnik.

— Tak, ale nie tego się spodziewałeś.

Rzeźnik otworzył notes na pierwszej stronie. Przerzucił jedną kartkę, drugą i trzecią. Wreszcie dotarł do końca.

— Co to ma być, do kurwy nędzy?! Obrazki kotów? Bazgroły?

— Właśnie tak robię notatki — wyjaśnił Joseph. Nie potrafił ukryć dumy w głosie.

— A skąd mam wiedzieć, że to notatki?

— Mogę ci je przeczytać.

— Mógłbyś mi nawijać, co ci się, kurwa, spodoba. I co ja mam im pokazać?

— Jakim „im”?

— A jak ci się zdaje? Kto z nimi zadrze, ma przejebane. Czyżby jego pracodawcy? Gdyby tak mógł wyjaśnić...

— Moje notatki...

— To żart, tak? No to ja ci pokażę żarty. — Rzeźnik zawlókł Josepha do furgonetki i otworzył tylne drzwi. Z wielu języków, jakimi władał tłumacz, do głowy przyszło

mu tylko jedno słowo: *Jesu*. W furgonetce wisiały łbami w dół dwa obdarte ze skóry barany, sine z zimna.

Zabrakło mu słów. Nie mógł nawet oddychać.

— Niech ptaki se to czytają. — Rzeźnik rzucił notes pod wiatr, a potem wepchnął Josepha na pakę furgonetki i wlaź za nim.

Zewsząd zleciały się mewy. Spadały z nieba jak sznur złodziei, okradając siebie nawzajem. Chwytały w dzioby i badały każdy świstek z kieszeni Josepha. Nad niedojedzonym batonem energetycznym wywiązała się regularna bitwa. Na moment ptaki wystraszył huk strzału, po czym zwycięzca odleciał, ścigany przez inne mewy i krzyki oburzenia. Reszta ptaków usiadła posepnie, dziobami pod wiatr. W ustępującej mgiełce ukazał się horyzont, fale rozbijały się o brzeg z odgłosem paciorków rozsypywanych na marmurowej podłodze.

Rozdział 1

Na cmentarzu Wagańkowskim czas nie stanął w miejscu, lecz zwolnił. Opadające z topoli liście oraz popiół rozsiewały poczucie ulgi i swobody, ale też zwracały uwagę na opłakany stan cmentarza. Przeważały skromne kamienne groby z ławkami, otoczone zardzewiałymi płotkami z kutego żelaza. Kwiaty w słoiku albo paczka papierosów świadczyły o tym, że ktoś dba o duchy, które przecież miały prawo sobie dogadzać.

Można by powiedzieć, że Grisza Grigorienko dogadzał sobie zawsze i wszędzie. Prowadził wystawne życie w domu i równie wielkopańsko bawił się na mieście. Starszy śledczy Arkadij Renko i detektyw sierżant Wiktor Orłow przez kilka dni jeździli śladem zmarłego po całej Moskwie. Zaczęli od oględzin wypatroszonego Griszy w kostnicy, skąd zwłoki pojechały do centrum odnowy biologicznej na kąpiel w ziołach i makijaż. W końcu ubrane i pachnące ciało wystawiono na widok publiczny w połączanej trumnie

na wyścielonym różami katafalku w soborze katedralnym Chrystusa Zbawiciela. Powszechnie przyznawano, że zważywszy na dziurę z tyłu głowy, Grisza prezentował się całkiem, całkiem.

Funkcjonariusze tacy jak starszy śledczy Renko i detektyw sierżant Orłow uważali tego typu obserwację za coś poniżającego — zadanie, z którym poradziłby sobie byle bileter w teatrze. Prokurator kazał im „notować i robić zdjęcia. Trzymać się z dala od orszaku pogrzebowego i tylko się przyglądać. Zachowywać dyskrecję i nie nawiązywać kontaktu”.

Pracowali w parze. Arkadij, szczupły mężczyzna o prostych ciemnych włosach, bez papierosa w ręku wydawał się niekompletny. Wiktor, wrak człowieka o przekrwionych oczach, przerzucił się z wódki na fantę. A raczej próbował. Chlał tak, że pomijając Arkadija, nikt nie chciał z nim pracować. Ale w trakcie śledztwa pozostawał trzeźwy i był świetnym detektywem. Zupełnie jak obręcz hula-hoop, która trzyma się prosto, dopóki się kręci, a po zatrzymaniu pada.

— „Nie nawiązywać kontaktu” — zacytował Wiktor. — Przecież to pogrzeb. Czego on się spodziewa, siłowania się na ręce? Hej, to ta pogodynka z telewizji!

Z maserati wysunęła się blondynka w czerni.

— Jeśli jej pomachasz, zastrzelę cię — zagroził Renko.

— Widzisz, nawet ciebie to wkurza. „Zachowywać dyskrecję”. Bo chodzi o Griszę? Może i był miliarderem, ale też bandziorem spod ciemnej gwiazdy.

Grisza miał dwa oblicza. Darczyńcy na cele publiczne, organizatora akcji charytatywnych i mecenasa sztuki, a także wybitnego przedstawiciela moskiewskiej Izby Handlu. A jednocześnie ten sam Grisza maczał palce w narkotykach, w handlu bronią i prostytutce.

Goście na pogrzebie tworzyli podobną mieszankę. Arkadij zauważył miliarderów, którzy położyli łapę na krajowych zasobach drewna i złożach gazu ziemnego; ustawodawców wysysających z państwowej kasy ostatni grosz; bokserów, którzy zostali bandziorami; spasionych jak żuki popów; chwiejące się na szpilkach modelki oraz aktorów grywających wyłącznie zabójców, bo na co dzień zajmowali się tym w prawdziwym życiu. Przed pierwszym rzędem rozłożono zielony dywan ze sztucznej trawy, bo tam właśnie zasiedli szefowie moskiewskiego półświatka w całej swojej różnorodności — od starej wiary jak Małpa Bieledon, karzeł w płaszczu i czapce z karakułów, w towarzystwie swoich dwóch nabitych mięśniami synów; przez Izaaka i Walentinę Szagelmanów, speców od niewypłacalnych banków; aż po Abdula, który z czeczeńskiego buntownika wyrósł na przemytnika samochodów oraz, drastycznie zmieniając bieg swojej kariery, na hip-hopowego piosenkarza. Kiedy Wiktor uniósł aparat fotograficzny, jeden z synów Bieledona zasłonił mu widok.

— To jest do chuja niepodobne. — Wiktor odwołał się do ulubionego porównania. Według niego mecz piłkarski był chujowy, w karty zagrał jak chuj, chujowo smakowała

sałatka... Stale ktoś robił go w chuja. — Wiesz, co mnie wkurza?

— Co takiego?

— Wrócimy z aparatem cyfrowym i dwustoma zdjęciami wszystkich, którzy stali nad tą chujową dziurą w ziemi, a naczelnik komisariatu podziękuje nam serdecznie, po czym na naszych oczach to skasuje.

— Zrzucić najpierw te zdjęcia do laptopa.

— Nie o to chodzi. Sęk w tym, że nie da się wygrać. My tylko udajemy, że coś robimy. A mogłem spokojnie urznąć się w trupa i uwalić się nieprzytomny do wyra.

— I ja ci w tym przeszkodziłem?

— Żebyś wiedział. Ale chciałeś dobrze.

— Szczęśliwi, których droga nieskalana, którzy postępują według Prawa Pańskiego* — zaintonował śpiewnie pop. Na wysokości brzucha dyndał mu złoty krucyfiks, na nadgarstku błyszczał złoty rolex.

Arkadij potrzebował chwili wytchnienia. Przeszedł się po cmentarzu, lawirując między nagrobkami. Można by rzec, że była to jego ulubiona kolekcja rzeźb. Zadumany arcymistrz z czarnego marmuru siedział nad szachownicą. Balerina z białego marmuru szybowwała w powietrzu. Niektórych zdecydowanie ponosiła fantazja. Oto z grobu pisarza wylatywał leśny duszek. Odlany z brązu komik wręczał świeży goździk. Na skromnych splechawkach trawy żywi mogli przysiąc na ławce, by pomówić z tymi, co już

* Księga Psalmów, Psalm 119,1. Biblia Tysiąclecia, Pallotinum.

dawno odeszli.

Nagle drogę zagroził mu Aleksiej Grigorienko.

— Czy mój ojciec nie ma prawa spocząć w pokoju? Będziecie go szczuć aż po grób? — warknął.

— Moje kondolencje — powiedział Arkadij.

— Zakłóćacie przebieg ceremonii pogrzebowej.

— Aleksieju, to jest cmentarz — przypomniał mu Arkadij. — Tu nie potrzeba zaproszenia, wszyscy są mile widziani.

— To jest, kurwa, nękanie i świętokradztwo!

— Czy tak się wyrażają studenci amerykańskich szkół biznesu?

— Nie byliście zaproszeni — upierał się Aleksiej.

Z modnym kilkudniowym zarostem i ułożonymi na żel włosami stanowił bardziej elegancką wersję swojego ojca. Należał do nowego pokolenia, które uczestniczyło w forach gospodarczych w Aspen i śmigało na nartach w Chamonix, i nie ukrywał, że ma zamiar wynieść rodzinne interesy na kolejny szczebel legalności.

Tymczasem prawdziwe zamieszanie wybuchło przy bramie cmentarza, gdzie grabarze powstrzymywali grupę ludzi wznoszących tablice ze sloganami. Arkadij nie dosłyszał, o co chodzi, ale dostrzegł znajomą dziennikarkę. Z Anią Rudienko mieszkali drzwi w drzwi, a czasami dzieliła z nim łóżko. Nie mógł się nadziwić, co taka młoda i pełna życia dziewczyna w nim widziała. Nie miał pojęcia, co robiła na cmentarzu, w każdym razie posłała mu ostrzegawcze spojrzenie na znak, żeby się nie zbliżał. Nie

otaczali jej celebryci z klasą ani eleganciki z mafii. Znajomi Ani, sami pisarze i intelektualiści, porywali się wprawdzie czasami na rozmaite głupoty, ale nie byli przestępcami, więc po krótkiej przepychance zawrócili i odeszli ulicą, a ona wraz z nimi.

Pop odchrząknął i wtrącił swoje trzy grosze.

— Czy nie powinien pan wygłosić mowy pogrzebowej, zanim... no wie pan... przeszkodzi nam coś innego? — podsunął Aleksiejowi.

Tu chodzi o dużo więcej niż tylko o mowę pogrzebową, pomyślał sobie Arkadij. W przemówieniu Aleksiej miał się zaprezentować wielu żalobnikom, a byli to trudni słuchacze. Z ich punktu widzenia równie dobrze mógł stracić głowę, jak włożyć na nią koronę.

— Jeśli ma za grosz rozumu i pragnie żyć, to właśnie nadeszła pora, żeby się pożegnał i dał w długą — odezwał się Wiktor.

— Mój ojciec, Grisza Iwanowicz Grigorienko, był człowiekiem uczciwym i sprawiedliwym, wizjonerem w interesach i mecenasem sztuki — zagaił powoli Aleksiej. — Wśród kobiet uchodził za dżentelmena. Ale nie był bawidamkiem, wołał męskie towarzystwo. Nigdy nie zawiódł przyjaciela ani nie unikał walki, nie bacząc na to, że próbowano mu zszargać opinię i splamić reputację. Był orędownikiem zmian. Rozumiał, że weszliśmy w nową epokę. Doradzał nowej generacji przedsiębiorców, każdego w potrzebie traktował jak ojciec. Religijny, z głębokim poczuciem więzi społecznych, postawił sobie za cel poprawę

jakości życia zarówno w Kaliningradzie, jak i w rodzinnej Moskwie. Ja zaś obiecałem mu, że dopilnuję, by to marzenie się spełniło. I wiem, że uda mi się je ziszczyć przy pomocy jego prawdziwych przyjaciół, którzy pójdą za mną.

— I może rozplatają go, jakby rozpinali zamek błyskawiczny — szepnął Wiktor.

— A przechodząc do przyjemniejszych spraw, chcę zaprosić wszystkich, by zakosztowali gościnności rodziny Grigorienko na jachcie mojego ojca, stojącym na cumach przy Nabrzeżu Kremłowskim — dodał Aleksiej.

Żałobnicy przeszli gęsiego przed otwartym grobem, rzucając na trumnę czerwone róże. Nikt się nie ociągał. Perspektywie bankietu na światowej klasy jachcie nikt nie potrafił się oprzeć, więc po kilku minutach przy grobie zostali tylko Arkadij, Wiktor oraz sypiący ziemię grabarze. Grisza Grigorienko znikł wraz ze swoimi różami.

— Widziałeś to? — zapytał Wiktor.

Arkadij przyjrzał się nagrobkowi. Gotowy kamień najwidoczniej czekał tylko na datę, bo na wypolerowanym granicie widniała już naturalnej wielkości postać Griszy, wykonana techniką fotochemigrafii. Gangster miał kapitańską czapkę i rozpiętą pod szyją koszulę, spod której wystawał krucyfiks i łańcuchy. Stał z nogą opartą na zderzaku jeepa cherokee, trzymając prawdziwy kluczyk do samochodu.

— Ten nagrobek kosztował więcej, niż wyciągam przez rok — mruknął Wiktor.

— Ale za to ktoś mu odstrzelił łeb. Lepiej ci z tą

świadomością?

— Trochę.

— Tylko dlaczego go zastrzelili? — spytał Arkadij.

— A czemu nie? Średnia długość życia gangsterów nie jest zbyt wysoka. Jak wieść niesie, po usunięciu Griszy Kaliningrad stoi otworem. Ludzie nie wierzą, że Aleksiej ma to coś, czego potrzeba, żeby tam rządzić. To nie jest szkółka. Jeśli ma za grosz rozumu, powinien wrócić na uczelnię i nadal studiować interesy, ale trzymać się od nich z daleka. Wybierasz się na ten jacht?

— Nie. Już nie potrafię ukrywać zazdrości.

Wiktor się rozejrzył.

— Spokój, powaga, sielska atmosfera. To coś dla ciebie

— powiedział. — A ja idę, odnajdę ten jacht i naszczam do rzeki.

Gdy tylko odszedł, Arkadij zwrócił się do grabarzy, którzy wciąż się denerwowali starciem ze znajomymi Ani.

— To była demonstracja — tłumaczyli mu. — A nie wolno demonstrować bez zezwolenia.

Arkadij postanowił nie mieszać się do spraw Ani, ale nie mógł się powstrzymać, by nie zapytać:

— Przeciwno czemu demonstrowali?

— Tłumaczyliśmy im, że samobójstwo to samobójstwo, więc choćby ktoś był nie wiem jak sławny, nie można go pochować w poświęconej ziemi.

— Samobójstwo?

— Sam pan ich spytaj. Idą całą bandą na stację Taganskaja. Spokojnie pan ich dogonisz.

- A kto popełnił samobójstwo?
- Tatiana.
- Tatiana Pietrowna — uściślił drugi. — Wichrzycielka do samego końca.

• • •

Na zewnątrz cmentarza, przed bramą, dwaj synowie Małpy Bieledona palili wspólnie skręta.

— Stary każe nam czekać na naszą kolej, jakby był jebaną królową Anglii, a my księciem Walii. Kiedy przekaze nam kierownictwo? Powiem ci. Nigdy.

- Prawdziwą władzę.
- Prawdziwa władza nie przechodzi z ojca na syna.
- Trzeba po nią sięgnąć samemu. A potem nie wypuszczać jej z rąk.
- I ją okazywać, no wiesz, na przykład: „Zadzieras z mną, zadzieras z najlepszym!”.

— Tony Montana z *Człowieka z blizną*. Według ciebie to ma być kubański akcent?

— „Ze mną zadzieracie?! Idziecie na całość? Czemu nie. Przywitajcie się z moim małym przyjacielem!”. A potem kosi ich jednym strzałem.

- Widziałem to na DVD pewnie ze sto razy.
- Kaszlnięcie.
- Uważaj, żeby Małpa nie przyłapał cię na paleniu tego świństwa.
- Jest jak jakiś pieprzony harcerzyk.
- Małpa? Niech się goni.

— Aleksiej też niech spada. Urodzony w pierdolonym
czepku mięczak.